Powieść i Nowela

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 22 MARCA 1930 ROKU NR. 12

ANDRZEJ STRUG

6)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Paryżanie spierali się bez zapału i przekonania, tak sobie, byle gadać, ale ponieważ stanął za nimi jakiś osobnik wątpliwy, rozeszli się w różne strony. Wszędzie szpiegi i to od samego początku, od września czternastego roku, kiedy aresztowano na Gare du Nord ową babę, która szerzyła panikę, twierdząc, że wojna nie skończy się przed zimą. Rząd sobie myśli, że szpiegami wygra wojnę, niech ich lepiej wyprawią na front, to mrowie łajdaków, co wysiadują po kawiarniach i podsłuchują, że człowiek boi się gęby otworzyć.

* * *

Smutno i w Quartie, na Boul-Michel'u ciemniej, niż gdziekolwiek. Młodzież na froncie, Sorbona i wyższe uczelnie wegetują, duża część sklepów i kawiarni zamknięta na mur i to już przeszło od roku. Zupełnie ciemną ulicę Soufflot sklepił w potężny masyw Panteon, ścięty tuż ponad portykiem przez mgłę. Fontanna Medicis od lat nieczynna, jej basen pełen cuchnącego błota. Przed Odeonem sami żołnierze, zbierają się na jakieś patrjotyczne przedstawienie dla rannych; pod kolumnadą u Flammariona, obsługiwanego przez same kobiety, sterczy nad książkami paru starych manjaków.

Senator Guillet - Goudal wyszedł żwawym krokiem z pałacu Luxemburskiego i podreptał jakby lekkim kłusikiem po pochyłości ulicy Tournon. Spieszył się bardzo — gdzie wy, miłe taxówki — ale rwał tak raczej z irytacji, która domagała się upustu. Już wiedział niezbicie, że znowu nic z tego. Kombinacja z Lepelletier'em przepadła. O gabinecie Paillot niema żadnej mowy. Dziś w nocy, a najdalej jutro rano główni matacze zakończą swoje intrygi, śmiertelni wrogowie, skłóceni od wieków i na wieki wieków, pogodzą się dla ratowania ojczyzny, najbliżsi przyjaciele rozejdą się w nienawiści i gabinet będzie gotów. Pałac Elizejski, ta przeklęta kuźnia szachrajstwa, uzna fakty i świństwa dokonane w ciągu nocy i jutro w porannych dziennikach... Czyżby naprawdę — on? Jakże daleko zajechała nasza polityka od gabinetu, w którym i on... Senator nie mógł zapomnieć, że i on był kiedyś ministrem. Nie zapomni o tem do samej śmierci, choć zdarzyło się to jeden, jedyny raz przed ośmiu laty i nie przetrwało sześciu tygodni. Położenie Francji było beznadziejne. Miljon dwieście tysięcy poległych, około miljona jeńców, miljardy długów... Lekkomyślne absurdalne ofensywy czołowe w rodzaju kwietniowej tego roku afery Nivelle...

Tak wyrzekając, poglądał senator na zegarek i dreptał dalej. Spojrzał jeszcze raz i dopiero gdy schował zegarek i zapiął palto, spostrzegł, że nie pamięta, która była godzina... Człowiek jest zdenerwowany, udręczony do ostateczności... Chwała Bogu, dopiero kwadrans na szóstą — jeszcze zdąży... W tych okropnych czasach trzeba mieć bodaj moment wytchnienia, jakiegoś piękna, ekstazy... Jako człowiek z gruntu rozsądny, wiedział raz na zawsze, że wszelkie w tym względzie rojenia są absolutną niemożliwością, ale samo obcowanie z tą niemożliwością, nawet patrzenie na nią zdaleka, nie mówiąc już o paru zamienionych słowach, o ucałowaniu ręki... Ach... W uwielbieniu bez żadnej nadziei jest też bolesna, jątrząca, ale może właśnie najwyższa rozkosz. Zapewne i to jest dużo — jeżeli już żadną miarą nie może być inaczej. Senator — choć niezawsze o tem pamiętał, to jednak wiedział, że ma już pięćdziesiąt trzy lata — już a nie — dopiero pięćdziesiąt trzy. Przy znanej zaś na obie półkule świata bezinteresowności tej wielkiej kobiety, cóż za szanse może mieć człowiek niezbyt urodziwy, nieco zbyt okrągły i do pewnego stopnia łysy? Niepodobna wymagać nawet od artystki tej miary, żeby w jej uczuciu przeważały wielkie zasługi dla kraju, Komandorja Legji Honorowej i powszechnie uznany genjusz stanu. To nic, to nic... Upijmy się, jak bogowie Olimpu najsubtelniejszem choć niematerjalnem winem aetheru... Można nie być z powołania Petrarką, ale jeżeli okoliczności składają się inaczej, to jednak trzeba znaleść ujście dla namiętności i w czystej poezji, w szczytnej fikcji...

Tu przerwał mu potężny ryk. Odezwała się syrena z dachu pałacu Luxemburskiego. Rozwarła gardziel i zionęła żelaznym wrzaskiem na całe miasto. Jej siła wzmagała się z każdą sekundą, od najniższego chrapliwego basu, leciała kędyś wzwyż z niepohamowanym rozpędem zajadłości. Doszła do szczytu — zawyła tak, że senator — choć przywykł już do tego, jak wszyscy Paryżanie, przykucnął nagle i zatkał sobie uszy. Z rękami na uszach ruszył z miejsca pędem młodzieńczym. Zanim dobiegł do stacji „Odeon" kolei podziemnej, już latarnie zgasły na całej ulicy i światła we wszystkich oknach. Biegł wraz z innymi wśród czarnej nieprzebitej nocy, zmierzając ku czerwonemu, zamaskowanemu od góry ognikowi stacji. Potrącano go, potykał się i sapiąc srodze, zdyszany dopadł nareszcie zbawczych schodów. Zanim dopadł, odruchowo spojrzał jeszcze w górę — już tam biegały w ostrych podrzutach białe promienie reflektorów, szukając czegoś w czarnej czeluści nieba.

Pierwszą myślą senatora, gdy się znalazł w bezpiecznem podziemiu, było straszne przypuszczenie,

że z powodu tego głupiego alarmu, który mu się wydał teraz najoczywiściej fałszywym, jak było już tyle razy, oraz ciemności — ona gotowa całkiem nie przybyć do margrabiny... To go zgnębiło. Ze złością oczekiwał na pociąg i nie mógł się go doczekać, ze złością patrzał na gromady żołnierzy, wałęsających się po stacji. Wszędzie ich pełno — któż u djabła właściwie jest na tym froncie? Ze złością stał w ścisku, trafiwszy na dobitkę do wagonu z samymi anglikami. Żołnierze byli dobrze podpici i przytupując do taktu okutemi buciorami, ryczeli swoje Tipperary. Odezwała się w nim niechęć rasowa, nawet nie z epoki Napoleona, ale nienawiść prastara z czasów Dziewicy. Oczywiście — przyjechali się bawić. Anglja markuje wojnę — niech się leje francuska krew. Anglja nic nie robi, oszczędza swoją flotę i czeka końca, żeby w momencie likwidacji być najsilniejszą... Senator w strapieniu swojem zapomniał, że nie dalej, jak tego rana, zwymyślał na schodach własną konsjerżkę, która mu wyplatała o Anglikach dosłownie to samo.

Gdy po półgodzinie ostrożnie wylazł z pod ziemi, alarm już ustał, syreny milczały, reflektory nie grały na niebie, ale w tej dzielnicy nie zapalono jeszcze latarń. Poomacku, nie poznając ulic w ciemnościach i mgle, kierował się ku Avenue Henri Martin. Błąkał się, pytał przechodniów i wreszcie jakoś dotarł do Hôtel Lambesc.

Z okien pierwszego piętra, osłoniętych ciemnemi zasłonami, przesączały się szczeliny blasku — tam zacisze od przeklętych spraw polityki i wojny, oaza wytworności i ukojenia, dostojna atmosfera sztuki — tam jest ona.

Po powitaniach w głównym, błękitnym salonie senator spostrzegł tylko trzech obcych, jakiegoś pułkownika francuskiego w uniformie i dwuch oficerów marynarki angielskiej, rozmawiających osobno w kącie pod olbrzymią, rozszczepioną nad nimi palmą. Reszta to dobrzy znajomi. Margrabina pytała o nowiny.

— Nic pocieszającego, margrabino.

— Więc cóż?

— Obawiam się, że będziemy musieli wraz z całą Francją znieść dotkliwe poniżenie.

— Więc on? — W głosie margrabiny nie było przerażenia. Zdradził się nawet jakby cień radości.

— Zapewne... Tak się wszystko fatalnie układa. Będzie to okres krótki, ale bardzo przykry.

— Cóż, drogi senatorze, w każdym razie...

Senator spojrzał na nią zdumiony.

— Jesteśmy w tak wyjątkowo ciężkiem położeniu, że każda energja, choćby dzika i nie przebierająca w środkach... Naturalnie tylko na czas przejściowy...

Senator rozłożył ręce, skłonił się i odszedł. Był to cios prosto w serce. I ona, ta mądra kobieta, radykalna, tak zwana „czerwona margrabina", uległa szowinistycznej zarazie... Co za czasy...

W okrągłej narożnej salce lustrzanej perorował jakiś młody człowiek o smutnej twarzy, otoczony kołem pań, zasłuchanych, z oczami wlepionemi w mówcę. Hurtebize... lasek Brimont... Senegalczycy... Zabetonowane gniazda niemieckich karabinów maszynowych... Nieuszkodzone druty... Ogień w plecy z pozycji na wzgórza Aillette... Czterdzieści tysięcy poległych w ciągu godziny... Tak — czterdzieści tysięcy — zbrodniczo i bezcelowo... I jeżeli były bunty w armji, to któż, jak nie generałowie Nivelle, Micheler, Mangin...

Młody człowiek miał medal wojskowy i pusty prawy rękaw od samego ramienia. Oczywiście — nowiny odgrzewane z kwietnia, czyż ludzie nigdy nie zapomną o tem, co było, kiedy tyle nowych kłopotów ciąży nad Francją? Senator ostrożnie zajrzał do ostatniego salonu — ale i tam jej nie było. Już nie przyjdzie...

Za to ujrzał w dwuch fotelach przed kominkiem zatopionych w poufnej przyciszonej rozmowie jednego z redaktorów Action Française, starą kanalję Daniel Misèreza, który poniewierał jego cześć niedawno w serji ohydnych artykułów w związku z kampanją przeciwko Caillaux, oraz — swego kochanego przyjaciela z ministerstwa spraw zagranicznych, z którym jeszcze przed tygodniem radzili zatroskani nad obroną wielkiego męża stanu, napastowanego nieludzko przez zjednoczoną mafję nacjonalistyczną. Kolana tych panów stykały się, uśmiechy ich kojarzyły się ze sobą w nieprawdopodobnem porozumieniu...

Senator zawrócił i sztywnym krokiem lunatyka minął okrągły salonik.

* * *

— Proszę pań, byłem tylko prostym żołnierzem, ale znałem do gruntu mój bohaterski, wypróbowany 128 pułk... Zaraz po upadku Lens... Pułk zdobywa pozycję Mont Spin, ponosi okropne straty i siedzi w nędznych, prowizorycznych okopach przez całe dziewięć dni pod ciągłym ogniem artylerji... Nareszcie zmiana! Ledwieśmy odmaszerowali, tego samego dnia wieczorem dowiadujemy się, że nasz Mont Spin już odebrany z powrotem. Trzeba było słyszeć, co wygadywali żołnierze, którzy pozostawili na tych pozycjach dwa swoje bataljony. Zakwaterowano nas we wsi Prouilly, w nędzy i w ciasnocie. Jedzenia mieliśmy bardzo skąpo, za to wina — trzeba to wyznać — było wbród. Ledwieśmy się trochę odespali, ledwieśmy się opamiętali — w cztery dni przychodzi rozkaz powrotu na linję. Co?! A odpoczynek? A przyobiecane urlopy? No — nie. Co to — to nie! Zaczęliśmy się zbierać w kupy. Zaraz zjawili się mówcy. I ja, jak mnie tu panie widzą, też gardłowałem nie gorzej od innych. Mogli byli i mnie zabrać do Chalons i też rozstrzelać...

Senator, wzdychając ciężko, przebrnął salon błękitny, zaczepiony przez lokaja, wziął filiżankę herbaty i lawirując wśród stolików, omijając zagadanych gości, odniósł ją do sąsiedniego pokoju. Był to tak zwany gabinet „dywanowy", zaciszny i przyćmiony. Chlubą jego były autentyczne arrasy, dwa Coroty i olbrzymi, na całą ścianę, mroczny w swych potężnych złotych ramach Velasquez. Przy okrągłym stole malachitowym w towarzystwie pewnego sekretarza ambasady brytyjskiej siedziały trzy upiory potężnej do tak niedawna i do ostatka najwierniejszej sojuszniczki Francji. Był to podsekretarz stanu Rządu Tymczasowego Amelikow, bohaterski generał Sołomow i rosyjski agent finansowy, tajny radca Riżskij, których straszliwa katastrofa październikowa zastała w Paryżu.

Senator znał ich potrosze z dwuch konferencji informacyjnych, na które w ostatnich dniach zapraszano go do ambasady na rue de Grenelle, jako członka komisji spraw zagranicznych Senatu.

— Cóż tam nowego mają panowie z naszej nieszczęsnej Rosji? Czy nie zaszło coś pocieszającego? — spytał bezmyślnie przy powitaniu, stawiając swoją filiżankę na malachitowym stole.

(D. c. n.).

12) # JĄDRO CIEMNOŚCI

Chłopięca twarz bez zarostu o bardzo jasnej cerze, rysy nie odznaczające się niczem wybitnem, łuszczący się nos, małe niebieskie oczka; a na tej szczerej fizjonomji śmiech i posępność goniły się wciąż nawzajem, jak blaski i cienie po równinie zamiatanej przez wicher. „Niech pan uważa, panie kapitanie!" krzyknął; „tu tkwi pień od wczorajszego wieczoru." Co takiego? Jeszcze jeden pień! Wyznaję że zakląłem haniebnie. O mały włos nie wybiłem dziury w moim kalece na zakończenie tej uroczej podróży. Arlekin na wybrzeżu podniósł ku mnie swój mały mopsi nosek. „Pan jest Anglikiem?" zapytał cały w uśmiechach. „A pan?" zawołałem od koła. Uśmiech znikł z jego twarzy; potrząsnął głową, jakby się martwił mojem rozczarowaniem. Potem się wnet rozweselił. „To nic!" krzyknął zachęcająco. „Czyśmy jeszcze zdążyli?" zapytałem. „On jest tam na górze" — odparł, kiwnąwszy głową w stronę pagórka i nagle sposępniał. Twarz jego była podobna do jesiennego nieba, chmurna i rozjaśniona naprzemian.

— Gdy dyrektor z eskortą pielgrzymów, uzbrojonych od stóp do głów, udał się do stacyjnego budynku, facet ów przyszedł na pokład. Rzekłem do niego: „Wie pan, to mi się nie podoba. Dzicy siedzą tam w gąszczu". Zapewnił mię poważnie że wszystjest dobrze. „To prości ludzie," dodał; „no, cieszę się żeście przyjechali. Przez cały ten czas byłem zajęty tylko tem aby ich utrzymać zdaleka. „Ależ pan powiedział że wszystko jest dobrze", zawołałem. „Ach, oni nie mieli żadnych złych zamiarów", rzekł i poprawił się, widząc że się w niego wpatruję: „w gruncie rzeczy nie mieli złych zamiarów." Potem oświadczył żywo: „Słowo daję, wasz domek pilota potrzebuje na gwałt wyczyszczenia." W następnej sekundzie poradził mi aby zostawić dość pary w kotle dla uruchomienia gwizdawki w razie jakiej biedy. „Jeden porządny gwizd więcej wam pomoże niż wszystkie wasze strzelby. To prości ludzie," powtórzył. Mełł wciąż językiem w takiem tempie że zupełnie mię oszołomił. Zdawało się że chce sobie powetować długie okresy milczenia, i rzeczywiście napomknął o tem ze śmiechem. „A z Kurtzem pan nie rozmawia?" rzekłem. „Z tym człowiekiem się nie rozmawia — jego się słucha" — wykrzyknął z surową egzaltacją. „Tylko że teraz — —" Machnął ręką i w mig pogrążył się w ostatecznem zgnębieniu. Po upływie sekundy otrząsnął się z niego w podskoku, porwał mię za obie ręce i potrząsał niemi czas dłuższy, bąkając: „Kolega marynarz... honor... przyjemność... rozkosz... przedstawić się... Rosjanin... syn archijereja... gubernja tambowska... Co? Tytoń! Angielski tytoń; świetny angielski tytoń! Doprawdy, to po bratersku. Czy palę? Gdzieżby marynarz nie palił"

— Fajka wpłynęła na niego kojąco; stopniowo się dowiedziałem że uciekł ze szkół i dostał się na morze na rosyjskim statku; potem uciekł znów i służył czas pewien na statkach angielskich; był już teraz w zgodzie z archijerejem. Kładł na to nacisk. „Ale kiedy się jest młodym, trzeba zobaczyć różne rzeczy, zdobyć doświadczenie, zapoznać się z różnemi pojęciami; rozszerzyć swój widnokrąg." „Tutaj?" przerwałem. „Tego nigdy nie można przewidzieć! Tutaj spotkałem Kurtza", rzekł z młodzieńczym porywem w tonie uroczystym i pełnym wyrzutu. Odtąd trzymałem już język za zębami. Okazało się że namówił zarząd jakiegoś holenderskiego domu handlowego z wybrzeża, aby go zaopatrzono w zapasy i towary, poczem wyruszył z lekkiem sercem wgłąb kraju, mając wprost dziecinne wyobrażenie o tem co go czeka. Wędrował w pobliżu tej rzeki już dwa lata, samotny, odcięty od wszystkich i od wszystkiego. „Nie jestem taki młody na jakiego wyglądam. Mam już dwadzieścia pięć lat", rzekł. „Stary Van Shuyten posyłał mię z początku do wszystkich djabłów", rozpowiadał z wielkiem ożywieniem; „ale uczepiłem się go, i póty gadałem, aż wreszcie zaczął się bać że wygadam mu dziurę w brzuchu, no i dał mi trochę tanich towarów oraz parę strzelb, oświadczając iż ma nadzieję nigdy już mojej twarzy nie ujrzeć. To zacny stary Holender, ten Van Shuyten. Posłałem mu przed rokiem małą partję kości słoniowej, więc nie będzie mógł nazwać mnie złodziejem gdy wrócę. Mam nadzieję że ją otrzymał. O resztę nie dbam. Urąbałem dla was trochę drzewa. Tam jest mój dawny dom. Czy pan go widział?

— Dałem mu książkę Towsona. Zrobił ruch jakby mię chciał pocałować, ale się wstrzymał. „Jedyna książka która mi pozostała — myślałem że ją zgubiłem", rzekł, patrząc na nią z ekstazą. „Tyle różnych wypadków zdarza się człowiekowi włóczącemu się samotnie, pan to rozumie. Czasem wywróci się łódka, — a czasem znów trzeba się piorunem wynosić kiedy się ludzie pogniewają." Przewracał kartkę za kartką. „Pan robił notatki po rosyjsku?" spytałem. Skinął głową. „A mnie się zdawało że to szyfr," rzekłem. Roześmiał się, potem znów spoważniał. „Z ciężkim trudem utrzymałem tych ludzi zdaleka" — powiedział. „Czy chcieli pana zabić?" spytałem. „Ach nie!" krzyknął i urwał. „Dlaczego nas napadli?" ciągnąłem. Zawahał się i rzekł wstydliwie: „Nie chcą aby odjechał". „Doprawdy?" rzekłem z zaciekawieniem. Kiwnął głową tajemniczo z mądrą miną. „Mówię panu," zawołał, „że ten człowiek wzbogacił mi duszę." Otworzył szeroko ramiona, wpatrując się we mnie małemi, niebieskiemi oczkami, które były zupełnie okrągłe.

III.

— Patrzyłem na niego, pogrążony w zdziwieniu. Oto stał przede mną w tej pstrokaciźnie, jakby zbiegł z trupy aktorów — uniesiony zapałem — postać z bajki. Samo jego istnienie było nieprawdopodobne, niewytłumaczone, i wręcz oszałamiające. Przedstawiał nierozwiązalną zagadkę. Niepojętem było jak mógł wogóle istnieć, jak mu się udało dotrzeć tak daleko, jak zdołał przetrwać — dlaczego nie zginął natychmiast. „Szedłem sobie trochę dalej", mówił, „a potem jeszcze trochę dalej — aż wreszcie zaszedłem tak daleko że nie wiem jakim sposobem będę mógł kiedyś wrócić. Ale to nic. Czasu mam dosyć. Jakoś to będzie. Zabierajcie Kurtza prędko — już ja wam to mówię." Czar młodości opromieniał jego różnokolorowe łachmany, jego nędzę, jego samotność i pustkę jego bezcelowych wędrówek. Przez miesiące, przez całe lata życie tego człowieka nie

było warte i szeląga; a oto stał przede mną pełen nieświadomej żywotności, odwagi i — rzekłbyś — niezniszczalny, jedynie mocą swej młodości i odruchowego męstwa. Ogarnęło mię coś jak podziw — jak zazdrość. Złudny czar gnał go naprzód — złudny czar go ochraniał. Ów młodzik nie żądał z pewnością niczego od dziczy, prócz przestrzeni aby móc oddychać i posuwać się naprzód. Potrzebą jego było istnieć i dążyć przed siebie z możliwie największem ryzykiem, wśród jaknajcięższych prywacyj. Tym młodzieńcem pokrytym łatami władał absolutnie czysty, bezinteresowny i najmniej praktyczny z awanturniczych duchów, jakie kiedykolwiek rządziły ludzką istotą. Zazdrościłem mu prawie tego skromnego i jasnego płomienia. Zdawało się że ów płomień pochłonął w nim tak doszczętnie każdą myśl samolubną, że nawet gdy słuchałem o jego przygodach, zapominałem że to właśnie on — ten człowiek stojący przede mną — przeszedł wszystkie te rzeczy. Nie zazdrościłem mu jednak uwielbienia dla Kurtza. Wcale się nad niem nie zastanawiał. Przyszło do niego i przyjął je z pewnego rodzaju żarliwym fatalizmem. Muszę powiedzieć, że to uczucie wydało mi się ze wszech miar największem chyba niebezpieczeństwem jakie napotkał dotychczas.

— Spotkanie tych ludzi było nieuniknione, jak zetknięcie się dwóch okrętów ogarniętych ciszą burta w burtę i ocierających się w końcu o siebie. Kurtz potrzebował widać słuchacza, bo wiem że przy pewnej okazji rozmawiali przez całą noc, rozłożywszy się obozem w lesie; a właściwie pewnie sam Kurtz tylko mówił. „Rozmawialiśmy o wszystkiem," rzekł jego wielbiciel, porwany tem wspomnieniem. „Zapomniałem że sen wogóle istnieje. Miałem wrażenie że ta noc nie trwała i godziny. O wszystkiem! O wszystkiem!... A także i o miłości." „Ach, więc mówił z panem o miłości!" rzekłem, mocno tem ubawiony. „Nie tak jak pan myśli!" wykrzyknął prawie namiętnie. „Mówił o miłości wogóle. Odsłonił przede mną takie rzeczy — takie rzeczy —"

— Podniósł gwałtownie ramiona. Byliśmy wówczas na pokładzie i starszy wśród moich drwali, który się wałęsał w pobliżu, zwrócił na niego ociężałe i błyszczące oczy. Rozejrzałem się, i nie wiem dlaczego, ale doprawdy — nigdy, nigdy jeszcze ten kraj, ta rzeka, ta dżungla, nawet sklepienie tego jaśniejącego nieba nie wydały mi się tak beznadziejne i tak ponure, tak nieprzeniknione dla ludzkiej myśli, tak bezlitosne dla ludzkiej słabości. „I odtąd, naturalnie, był pan z nim ciągle razem?" rzekłem.

— Okazało się że nie. Stosunki ich ulegały częstym przerwom z wielu powodów. Pielęgnował Kurtza, jak mi oświadczył z dumą, w ciągu dwóch chorób (wspominał o tem niby o ryzykownym jakimś czynie), ale zazwyczaj Kurtz zawsze wędrował sam, daleko w głębi lasów. „Przychodziłem tu często na stację i nieraz musiałem czekać wiele dni zanim się zjawił" — opowiadał. „Ach, warto było czekać! — niekiedy." „A co Kurtz robił? Badał okolice, czy co?" zapytałem. „O tak, naturalnie;" Kurtz odkrył bardzo wiele wsi, a także jezioro — wielbiciel jego nie wiedział dokładnie w jakim kierunku — niebezpiecznie było zanadto się dopytywać — ale wyprawy te miały za cel przeważnie kość słoniową. „Przecież w tym czasie nie miał już towarów na handel," wtrąciłem. „Spora ilość naboi została po dziś dzień jeszcze" — odpowiedział, nie patrząc mi w oczy. „Mówiąc bez ogródek, łupił poprostu kraj," rzekłem. Tamten skinął głową. „Z pewnością nie sam jeden!" Mruknął coś w odpowiedzi o wsiach wkoło tego jeziora. „Kurtz namówił tamte plemiona aby szły za nim, prawda?" poddałem. Poruszył się niespokojnie. „Oni go ubóstwiali" rzekł. Ton jego słów był taki nadzwyczajny, że popatrzyłem na niego badawczo. Zaciekawiało mię z jaką skwapliwością a zarazem rezerwą mówił o Kurtzu. Ten człowiek wypełniał jego życie, zaprzątał jego myśli, rządził jego wzruszeniami.

— „Czemu pan się tak dziwi?" wybuchnął; „przybył do nich z gromem i błyskawicą, rozumie pan — nigdy w życiu czegoś podobnego nie widzieli — i wzbudził w nich okrutny strach. On potrafi być bardzo straszny. Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka. Nigdy w życiu! Otóż... niech tam, powiem to panu, żeby panu dać o nim wyobrażenie: raz to i mnie chciał zastrzelić — ale ja go sądzić nie będę."

— „Zastrzelić pana!" wykrzyknąłem. „I za co?"

— „Miałem tam trochę kości słoniowej, którą mi dał naczelnik tej wsi koło mego domku. Widzi pan, strzelałem dla nich zwierzynę. No więc Kurtzowi zachciało się tej kości słoniowej i nie dał sobie przemówić do rozsądku. Oświadczył że mię zastrzeli, jeśli mu tych kłów nie dam i nie wyniosę się potem z kraju; że mię zastrzeli, bo może to zrobić, i ma na to ochotę, i nic go na świecie nie powstrzyma od zabicia kogo mu się żywnie podoba. To była prawda. Dałem mu tę kość słoniową. Cóż mi tam na niej zależało! Ale się nie wyniosłem. O nie. Nie mogłem go opuścić. Musiałem naturalnie być ostrożnym, pókiśmy się znowu na pewien czas nie zaprzyjaźnili. Chorował właśnie wtedy po raz drugi. Potem trzeba było znów schodzić mu z oczu, ale nic sobie z tego nie robiłem. Mieszkał przeważnie w tych wsiach nad jeziorem. Kiedy przychodził nad rzekę, to czasem mnie lubił a czasem lepiej się było pilnować. Ten człowiek zawiele cierpiał. Nienawidził tego wszystkiego i jakoś nie mógł tego porzucić. Kiedy mi się trafiała sposobność, prosiłem go żeby rzucił to wszystko póki jeszcze czas; proponowałem że wrócę z nim razem. Mówił: dobrze, a potem zostawał; wyruszał znów na poszukiwanie kości słoniowej; znikał na całe tygodnie, zapamiętywał się wśród tych ludzi — zapamiętywał się — rozumie pan."

— „Przecież to warjat" — rzekłem.

— Zaprzeczył mi z oburzeniem. Gdzieżby Kurtz mógł być warjatem. Gdybym go słyszał mówiącego, jeszcze przed dwoma dniami, nie śmiałbym napomykać o czemś podobnem... Wziąłem znów do ręki lunetę podczas gdy tamten mówił, i patrzyłem na brzeg, wodząc szkłami po skraju lasu z obu stron domu i za nim. Niepokoiła mię świadomość że są tam ludzie w tym gąszczu, tacy cisi, tacy spokojni — równie spokojni i cisi jak walący się dom u szczytu wzgórza. Na obliczu natury nie było żadnego śladu tej zdumiewającej historji, której Rosjanin właściwie mi nie opowiadał, napomykał mi tylko o niej wśród oderwanych okrzyków połączonych ze wzruszaniem ramionami, wśród ułamków zdań i aluzyj przechodzących w głębokie westchnienia. Las był nieporuszony jak maska — głuchy jak zamknięte drzwi więzienia — i patrzył na mnie z wyrazem tajonej wiedzy, cierpliwego oczekiwania, niedostępnego milczenia. Rosjanin wyjaśniał mi w dalszym ciągu że Kurtz powrócił nad rzekę dopiero niedawno, prowadząc z sobą wszystkich wojowników tego ludu z nad jeziora. Był nieobecny przez kilka miesięcy — pewno odgrywał rolę bóstwa — i zjawił się niespodzianie, zamierzając prawdopodobnie zrobić najazd na kraj za rzeką lub w dolnym jej biegu. Widać apetyt na kość słoniową zwyciężył w nim — jakże to nazwać? — mniej materjalne dążenia. Lecz nagle bardzo mu się pogorszyło.

(D. c. n.).